

15¢

SCIENCE FICTION

DECEMBER 1972 60c 30p

analog

SCIENCE FACT



THE SECOND KIND OF LONELINESS
George R. R. Martin

Drugi rodzaj samotności

18 czerwca - Mój zmiennik opuścił dziś Ziemię.

Oczywiście, miną co najmniej trzy miesiące, zanim tu dotrze. Ale jest już w drodze.

Wystartował dzisiaj z przylądka, tak samo jak ja przed czterema laty. Na Stacji Komarowa przesiądzie się na prom księżycowy, a potem, na Stacji Dalekich Lotów krążącej wokół Luni, czeka go druga przesiadka. To będzie początek jego prawdziwej podróży. Dopiero wtedy opuści własne podwórko.

Dopiero gdy „Charon” wystartuje ze Stacji Dalekich Lotów i wyruszy w noc, poczuje to naprawdę, tak jak ja poczułem to cztery lata temu. Zrozumie swą sytuację dopiero wówczas, gdy Ziemia i Luna znikną z tyłu. Rzecz jasna, od początku wiedział, że nie ma dla niego powrotu. Ale co innego wiedzieć, a co innego czuć. Wtedy to poczuje.

Czeka go jeszcze postój na orbicie Marsa, żeby przekazać zapasy do Burroughs City. I kolejne postoje w pasie planetoid. Później „Charon” zacznie się rozpędzać. Gdy dotrze do Jowisza, będzie już leciał bardzo szybko. A następnie grawitacja olbrzymiej planety nada mu jeszcze znacznie większą prędkość, działając jak proca.

Potem nie będzie już żadnych postojów, aż do chwili gdy dotrze do mnie, do Gwiezdnego Pierścienia Cerbera, dziesięć milionów kilometrów za Plutonem.

Podobnie jak ja będzie miał mnóstwo czasu na ponure rozmyślenia.

Oddawałem się im przez całe cztery lata, bo tu właściwie nie ma nic więcej do roboty.

Pierścieniowce przylatują rzadko, a z czasem można się znudzić książkami, filmami i taśmami.

Dlatego człowiek pograża się w rozmyślaniach. Wspomina przeszłość i marzy o przyszłości. Stara się nie dopuścić, żeby samotność i nuda doprowadziły go do pomieszania zmysłów.

To były cztery długie lata. Ale już się prawie skończyły. Fajnie będzie wrócić. Chcę znowu poczuć trawę pod nogami, zobaczyć chmury i zjeść deser lodowy.

Niemniej jednak nie żałuję, że tu przyleciałem. Mam wrażenie, że te cztery lata spędzone w mroku dobrze mi zrobiły. Nie można powiedzieć, żebym wiele zostawił na Ziemi. Dni, które tam spędziłem, wydają mi się teraz odległe, ale jeśli się postaram, nadal potrafię je sobie przypomnieć.

To nie są przyjemne wspomnienia. Miałem wtedy zdrowo nie po kolei w głowie.

Potrzebowałem czasu, żeby wszystko rozważyć, a akurat o czas jest tutaj najłatwiej. Człowiek, który wsiądzie na pokład „Charona”, nie będzie tym samym, który przybył tu cztery lata temu.

Zbuduję sobie na Ziemi całkiem nowe życie. Wiem, że tak będzie.

20 czerwca - Dzisiaj przyleciał statek.

Oczywiście nie wiedziałem, że przyleci. Nigdy tego nie wiem. Pierścieniowce przybywają nieregularnie, a energia, jaką się tu posługuję, zamienia sygnały radiowe w pełen trzasków chaos.

Gdy sygnały statku przebiły się w końcu przez szum, czujniki stacji zdążyły już go wykryć i poinformować mnie o jego zbliżaniu.

To był pierścieniowiec. Znacznie większy od wewnątrzsystemowych puszek na śmieci, takich jak „Charon”, i do tego potężnie opancerzony, żeby mógł się oprzeć wirowi zeroprzestrzeni. Leciał prosto na mnie, nawet nie próbując zwolnić.

Gdy schodziłem do sterowni, żeby przypiąć się pasami do krzesła, przemknęła mi przez głowę myśl, że to może być ostatni. Oczywiście zapewne tak nie było. Zostały mi jeszcze trzy miesiące, wystarczająco wiele czasu na dziesięć kolejnych statków. Ale nigdy nic nie wiadomo. Jak już mówiłem, pierścieniowce przybywają nieregularnie.

Ta myśl zaniepokoiła mnie z jakiegoś powodu. Statki pierścieniowe były częścią mojego życia już od czterech lat. Ważną częścią. A ten dzisiejszy mógł się okazać ostatnim. Gdyby rzeczywiście tak miało się stać, chciałem to wszystko sobie utrwalić. Chciałem to zapamiętać. I sądzę, że miałem ważne powody. To przyloty pierścieniowców nadają temu wszystkiemu wartość.

Sterownia znajduje się w samym sercu mojej kwatery. To ośrodek wszystkiego, tu właśnie zbiegają się nerwy, mięśnie i ścięgna stacji. Ale nie wygląda zbyt imponująco. Pomieszczenie jest bardzo małe, a gdy drzwi się zasuną, ściany, podłoga i sufit są jednolicie białe.

Jest tu tylko jeden mebel: konsola w kształcie podkowy, za którą stoi wyściełane krzesło.

Być może dzisiaj usiadłem na nim po raz ostatni. Przypiąłem się pasami, włożyłem słuchawki i opuściłem hełm na głowę. Potem sięgnąłem do przełącznika i włączyłem urządzenie.

W następnej chwili sterownia zniknęła.

Oczywiście to wszystko tylko hologramy. Wiem o tym. Ale kiedy siedzę na krześle, ta świadomość nie ma znaczenia. Czuję się tak, jakbym nie przebywał już na stacji, ale na zewnątrz.

W pustce. Konsola i krzesło pozostają na miejscu, ale reszta znika. Ze wszystkich stron otacza mnie nieprzenikniona ciemność. Z góry, z dołu i z boków. Odległe Słońce jest tylko jedną z wielu gwiazd, a wszystkie gwiazdy są straszliwie daleko.

Zawsze tak to wygląda. Dzisiaj było identycznie. Gdy tylko dotknąłem przełącznika, znalazłem się sam we wszechświecie. Towarzyszyły mi tylko gwiazdy i pierścień. Gwiazdny Pierścień Cerbera.

Widziałem go z zewnątrz, jakbym spoglądał na niego z góry. To ogromna struktura, ale z tego punktu wydaje się maleńka. Połyka ją bezmiar wszechświata, jest tylko cieniutką, srebrzystą nitką błyszczącą w mroku.

Wiedziałem jednak, że to złudzenie. Pierścień jest olbrzymi. Moja kwatery zajmuje tylko jeden stopień jego kręgu, kręgu o promieniu ponad stu pięćdziesięciu kilometrów. Resztę stanowią obwody, czujniki oraz baterie mocy. A także emitery, czekające cierpliwie emitery zeroprzestrzeni.

Pierścień obracał się pode mną bezgłośnie. Jego dalej położone fragmenty niknęły w ciemności.

Dotknąłem przełącznika na konsoli i na dole obudziły się emitery zeroprzestrzeni.

Pośrodku pierścienia narodziła się nowa gwiazda.

W pierwszej chwili była tylko maleńkim punkcikiem pośród ciemności. Dziś była zielona, jaskrawozielona. Nie była jednak taka zawsze i nie miało to utrzymać się długo. Zeroprzestrzeń ma wiele kolorów.

Gdybym zechciał, mógłbym w owej chwili zobaczyć nawet najdalej położony odcinek pierścienia. Świecił on własnym blaskiem. Emitery zeroprzestrzeni przebudziły się i produkowały niewyobrażalną ilość energii, by otworzyć szerzej dziurę w przestrzeni.

Ta dziura znajdowała się tu na długo przed przybyciem ludzi i powstaniem Cerbera. Odkryto ją przypadkowo, podczas wyprawy na Plutona, i zbudowano wokół niej pierścień. Potem znaleziono jeszcze dwie inne i wokół nich również powstały gwiazdne pierścienie.

Dziury były małe, za małe, ale można je było powiększyć. Na krótki czas, kosztem olbrzymiego wydatku energii, można je było rozewrzeć szeroko. Do wnętrza maleńkiego, niewidzialnego otworu w strukturze wszechświata pompowało się ogromną moc, aż wreszcie spokojna powierzchnia zeroprzestrzeni zaczynała się burzyć i powstawał wir.

Tak jak stało się to w tej chwili.

Gwiazda błyszcząca pośrodku pierścienia powiększyła się i stała się płaska. Była pulsującym dyskiem, nie kulą. Nadal jednak pozostawała najjaśniej świecącym obiektem na niebie. Rosła wyraźnie. Z wirującego, zielonego dysku tryskały pomarańczowe włócznie, przywodzące na myśl płomienie. Witki niebieskawej mgły rozwijały się powoli wokół niego. Na tle zieleni tańczyły czerwone plamki, które rosły i łączyły się ze sobą. Wszystkie kolory zaczęły się zlewać.

Płaska, wirująca, wielobarwna gwiazda powiększyła się dwukrotnie, a potem czterokrotnie.

Przed kilkoma minutami jeszcze nie istniała, a teraz wypełniała cały pierścień, dotykała jego srebrnej otoczki, przypiekając ją swą straszliwą energią. Obracała się coraz szybciej, przeradzając się w potężny wir światła i płomienia.

Wir. Wir zeroprzestrzeni. Wyjąca burza, która nie jest burzą i nie wyje, bo w kosmosie dźwięki się nie rozchodzą.

Pojawił się w niej pierścieniowiec. W pierwszej chwili był tylko ruchomą gwiazdą, ale przybrał dostrzegalną formę tak szybko, że moje ludzkie oko niemal nie było w stanie tego prześledzić. Stał

się ciemnosrebrzystym pociskiem przesywającym mrok, pociskiem wymierzonym w wir.

Celnie wymierzonym. Statek trafił prawie w sam środek pierścienia. Zamknęły się nad nim wirujące kolory.

Przestawiłem przełącznik. Wir zniknął jeszcze szybciej, niż się pojawił. Statek również, oczywiście. Zostałem tylko ja, pierścień i gwiazdy.

Potem dotknąłem innego przełącznika i znalazłem się z powrotem w białej sterowni. Następnie odpiąłem się od krzesła, być może po raz ostatni.

Z jakiegoś powodu mam jednak nadzieję, że tak nie będzie. Nigdy nie sądziłem, że będzie mi brakowało tego miejsca. Myliłem się. Będzie mi brak pierścieniowców i chwil takich jak dzisiejsza.

Mam nadzieję, że otrzymam jeszcze kilka szans, nim będę się musiał wyrzec tego na zawsze.

Chcę jeszcze kiedyś poczuć, jak emitery zeroprzestrzeni budzą się pod moim dotykiem, chcę zobaczyć, jak pojawia się wir, i unosić się samotnie w przestrzeni. Jeszcze chociaż raz, zanim odlecę.

23 czerwca - Pierścieniowiec zmusił mnie do myślenia jeszcze bardziej intensywnego niż zwykle.

To dziwne, że widziałem tyle statków przechodzących przez wir, a nigdy nie przyszło mi do głowy, by polecieć na którymś z nich. Po drugiej stronie zeroprzestrzeni znajduje się cały nowy świat. Druga Szansa, bogata, zielona planeta gwiazdy tak odległej, że astronomowie nadal nie są pewni, czy należy ona do tej samej galaktyki co nasze Słońce. To właśnie jest najdziwniejszą cechą dziur - nigdy nie wiadomo, dokąd prowadzą.

W dzieciństwie czytałem bardzo dużo o lotach międzygwiazdnych. Większość ludzi uważała je za niemożliwe. Ci, którzy byli innego zdania, zawsze uważali, że Alfa Centauri to gwiazda, której planety najprędzej poznamy i skolonizujemy, no bo w końcu była najbliżej. To zabawne, jak bardzo się mylili. Nasze kolonie krążą wokół słońc, których nigdy stąd nie zobaczymy. A nie sądzę, byśmy kiedykolwiek polecieли do układu gwiazdy Alfa Centauri...

Z jakiegoś powodu nigdy nie miałem osobistego stosunku do kolonii. Nadal go nie mam.

Ziemia jest miejscem, gdzie wcześniej mi się nie powiodło, i tam muszę teraz odnieść sukces.

Kolonie byłyby tylko kolejną ucieczką.

Jak Cerber?

26 czerwca - Dzisiaj przyleciał statek. Okazało się więc, że tamten jednak nie był ostatni. Ale czy ten nim nie będzie?

29 czerwca - Dlaczego człowiek zgłasza się do tego rodzaju roboty? Dlaczego ucieka do srebrnego pierścienia położonego dziesięć milionów kilometrów za Plutonem, żeby strzec dziury w przestrzeni?

Dlaczego marnuje cztery lata życia w samotności i mroku?

Dlaczego?

Na początku często zadawałem sobie to pytanie. Nie znałem wówczas na nie odpowiedzi. Teraz chyba ją znam. Wówczas gorzko żałowałem, że uległem impulsowi, który mnie tu skierował. W tej chwili mam wrażenie, że go rozumiem.

To wcale nie był impuls. Uciekłem na Cerbera. Umknąłem przed samotnością.

To nie ma sensu?

Ależ ma. Wiem wszystko o samotności. Była ona dominującym motywem mojego życia.

Byłem sam, odkąd sięgam pamięcią.

Ale istnieją dwa jej rodzaje.

Większość ludzi nie odróżnia ich od siebie. Ja je odróżniam, bo znałem obu.

Często się mówi i pisze o samotności ludzi obsługujących gwiazdne pierścienie. Latarnie morskie kosmosu i tak dalej. Wszystko to prawda.

Na Cerberze zdarzają się chwile, gdy wydaje mi się, że jestem jedynym człowiekiem we wszechświecie, Ziemia to majak zrodzony z gorączki, a ludzi, których pamiętam, stworzyła moja wyobraźnia.

Zdarzają się chwile, gdy tak bardzo pragnę z kimś porozmawiać, że krzyczę i walę pięściami w ściany. Albo chwile, kiedy nuda zachodzi mi za skórę tak bardzo, że niemal doprowadza mnie do szaleństwa.

Ale są też inne momenty. Przyłoty pierścieniowców. Chwile, gdy wychodzę na zewnątrz, by dokonać napraw. Albo kiedy po prostu siadam sobie na krześle i przenoszę się w mrok, żeby oglądać gwiazdy.

Czy jestem samotny? Tak, ale to poważna, posępna, tragiczna samotność, której człowiek może z pasją nienawidzić - a zarazem kochać ją tak bardzo, że pragnie jej wciąż więcej.

I jest też drugi rodzaj samotności.

Do niej nie potrzeba Gwiazdnego Pierścienia Cerbera. Można ją znaleźć w dowolnym miejscu na Ziemi. Wiem o tym, bo sam ją znalazłem. Znajdowałem ją wszędzie, dokąd się udawałem, i we wszystkim, co robiłem.

To samotność ludzi uwięzionych we własnym wnętrzu. Tych, którzy tak często mówili coś niewłaściwego, że nie mają już odwagi się odezwać.

Samotność zrodzona nie z odległości, lecz ze strachu.

Samotność ludzi, którzy przesiadują w swych mieszkaniach w ludnych miastach, gdyż nie mają dokąd pójść ani z kim porozmawiać. Samotność facetów, którzy chodzą do barów, żeby kogoś spotkać, a potem przekonują się, że nie potrafią nawiązać rozmowy, a nawet gdyby potrafili, to zabrakłoby im odwagi.

W tej samotności nie ma nic wspaniałego. Nie ma w niej celu ani poezji. Jest smutna, nędzna, żalonna i cuchnie użalaniem się nad sobą.

Tak, samotność pośród gwiazd czasami boli.

Ale samotność na przyjęciu boli bardziej. Znacznie bardziej.

30 czerwca - Przeczytałem wczorajszy zapis. I kto tu mówi o użalaniu się nad sobą...

1 lipca - Przeczytałem wczorajszy zapis. To moja maska szydery. Minęły cztery lata, a ja wciąż opieram się próbom szczerości wobec siebie. To niedobrze. Jeśli tym razem wszystko ma się ułożyć inaczej, muszę zrozumieć samego siebie.

Dlaczego muszę z siebie drwić, gdy tylko przyznaję, że jestem samotny i nieszczęśliwy?

Dlaczego tak trudno jest mi wyznać, że zawsze bałem się życia? I tak nikt nigdy tego nie przeczyta.

Mówię o sobie do siebie.

Dlaczego więc jest tak wiele rzeczy, których nie jestem w stanie powiedzieć?

4 lipca - Dzisiaj nie było pierścieniowca. Fatalnie. Na Ziemi nigdy nie wynaleziono sztucznych ogni, które mogłyby się równać z wirem zeroprzestrzeni, a ja jestem w świątecznym nastroju.

Czemu właściwie przestrzegam ziemskiego kalendarza tutaj, gdzie lata ciągną się jak stulecia, a pory roku są jedynie bladym wspomnieniem? Lipiec niczym się tu nie różni od grudnia, jakie więc ma to znaczenie?

10 lipca - Nocą śniła mi się Karen. A teraz nie potrafię się uwolnić od tego wspomnienia.

Sądziłem, że dawno już je pochowałem. Zresztą to wszystko były tylko fantazje. Och, lubiła mnie. Być może nawet kochała. Ale nie bardziej niż kilku innych facetów. Nie byłem dla niej kimś szczególnym, a ona nigdy sobie nie uświadomiła, jak bardzo szczególna jest dla mnie.

Ani tego, jak bardzo pragnąłem stać się dla niej tym kimś szczególnym. Jak bardzo potrzebowałem tego, by stać się nim dla kogoś. Dla kogokolwiek.

Dlatego ją wybrałem. Ale to były tylko marzenia. Zdawałem sobie z tego sprawę, w tych chwilach, gdy myślałem rozsądniej. Nie miałem powodu tak cierpieć. Nie miałem do niej żadnych praw.

Ale w moich marzeniach wydawało mi się, że je mam. I dlatego cierpiałem, ale to była wyłącznie moja wina.

Karen nigdy nie skrzywdziłaby nikogo świadomie. Po prostu nie uświadamiała sobie, jak bardzo jestem wrażliwy.

Nawet tutaj, w pierwszych latach, nadal o niej marzyłem. O tym, że zmieni zdanie. Że będzie na mnie czekała. I tak dalej.

Ale to były jedynie pobożne życzenia. Potem pogodziłem się sam ze sobą. Zrozumiałem, że nie będzie na mnie czekała. Że nigdy mnie nie potrzebowała. Byłem dla niej tylko przyjacielem.

Dlatego nie lubię już o niej marzyć. To nie jest dla mnie dobre. Cokolwiek zrobię po powrocie, nie wolno mi próbować jej odszukać. Muszę zacząć od nowa. Znaleźć kogoś, kto będzie mnie potrzebował. A to mi się nie uda, jeśli wrócę do starego życia.

18 lipca - Minął miesiąc, odkąd mój zmiennik opuścił Ziemię. „Charon” jest już w pasie planetoid. Zostały mi dwa miesiące.

23 lipca - Koszmary. Boże, zmiłuj się nade mną.

Znowu śni mi się Ziemia. I Karen. Nie potrafię tego powstrzymać. Co noc powtarza się to samo.

To dziwne, że nazywam Karen koszmarem. Do tej pory zawsze była dla mnie snem. Pięknym marzeniem o długich, miękkich włosach, dźwięcznym śmiechu i tym zabawnym uśmiechu. Ale tamte sny były tylko spełnieniem marzeń. Karen potrzebowała mnie w nich, pragnęła mnie i kochała.

Koszmary mają w sobie prawdę. Zawsze wyglądają tak samo. Jestem w nich z Karen, tego ostatniego wieczoru.

To był dobry wieczór, jak dla mnie. Zjedliśmy kolację w jednej z moich ulubionych restauracji i poszliśmy na przedstawienie. Rozmawialiśmy swobodnie o wielu sprawach. I śmialiśmy się razem.

Dopiero później, w jej mieszkaniu, znów stałem się taki jak zawsze. Próbowałem jej powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczy i pamiętam, jak bardzo byłem skrępowany, jak głupio się czułem. Trudno mi było sformułować słowa, co chwila plątał mi się język. Wszystko poszło nie tak.

Pamiętam, jak wtedy na mnie patrzyła. Dziwnie. Jak próbowała pozbawić mnie złudzeń.

Delikatnie. Zawsze była delikatna. Patrzyłem w jej oczy i słuchałem jej głosu, ale nie znalazłem tam miłości ani pragnienia, a tylko... coś jakby litość.

Litość dla nie potrafiącego się wysłowić przygłupa, który pozwalał, by życie przepływało obok niego, nigdy nie próbując złapać go w dłoń. Nie dlatego, że tego nie chciał. Dlatego, że się bał i nie potrafił tego zrobić. Odnalazła tego przygłupa i pokochała go na swój sposób, bo kochała wszystkich. Próbowała mu pomóc, przekazać choć część swej wiary w siebie, odwagi i elastyczności, z jaką stawiała czoło życiu. I udało jej się to, do pewnego stopnia.

Ale niewystarczającego. Przygłup lubił marzyć o nadejściu dnia, gdy już nie będzie samotny. A kiedy Karen próbowała mu pomóc, doszedł do wniosku, że jego marzenia się urzeczywistniły. Czy raczej wmówił to sobie. Rzecz jasna, cały czas podejrzewał, jak wygląda prawda, ale oszukiwał samego siebie.

A gdy nadszedł dzień, w którym nie mógł już dłużej się okłamywać, nadal był dostatecznie wrażliwy, by poczuć ból. Nie był z tych, którym łatwo zablizniają się rany. Brakowało mu odwagi, by spróbować z kimś innym. Dlatego uciekł.

Mam nadzieję, że koszmary się skończą. Nie potrafię ich znieść, nie co noc. Nie mogę już dłużej wracać do tej godziny w mieszkaniu Karen.

Spędziłem tu cztery lata. Przyjrzałem się sobie z wielką uwagą. Zmieniłem to, co mi się nie podobało, czy przynajmniej próbowałem zmienić. Chciałem przyspieszyć ten proces zablizniania, wyrobić sobie odwagę potrzebną, by przetrwać kolejne odrzucenia, które mnie czekają, nim w końcu ktoś mnie zaakceptuje. Poznałem jednak siebie cholernie dobrze i wiem, że odniosłem tylko częściowy sukces. Zawsze pozostaną sprawy, które będą mi sprawiały ból, którym nie nauczę się stawiać czoła, tak jak bym tego pragnął.

Jedną z nich jest ta ostatnia godzina z Karen. Boże, mam nadzieję, że koszmary wreszcie się skończą.

26 lipca - Znowu koszmary. Karen, kochałem cię. Błagam, zostaw mnie w spokoju.

29 lipca - Dzięki Bogu, wczoraj przyleciał pierścieniowiec. Potrzebowałem tego. To mi pomogło zapomnieć o Ziemi i o Karen. Dziś w nocy nie miałem koszmaru, po raz pierwszy od tygodnia. Śnił mi się wir zeroprzestrzeni. Straszliwa, milcząca burza.

1 sierpnia - Koszmary wróciły. Ale to już nie zawsze jest Karen. Pojawiły się też dawniejsze wspomnienia. Nieporównanie mniej znaczące, ale i tak bolesne. Wszystkie głupoty, jakie powiedziałem, dziewczyny, z którymi nigdy się nie spotkałem, wszystko, czego nigdy nie zrobiłem.

Niedobrze. Niedobrze. Wciąż muszę sobie powtarzać, że nie jestem już taki. Mam teraz nową osobowość, zbudowaną dziesięć milionów kilometrów za Plutonem. Skonstruowaną ze stali, gwiazd i zeroprzestrzeni, twardą i pewną siebie. Taką, która nie boi się życia.

Zostawiłem przeszłość za sobą. Ale nadal cierpię z jej powodu.

2 sierpnia - Dzisiaj przyleciał statek. Koszmary nie ustąpiły. Niech to szlag.

3 sierpnia - Dzisiaj nie było koszmarów. Drugi raz z rzędu przespałem spokojnie noc po tym, jak za dnia otworzyłem drogę przed pierścieniowcem. Dzień? Noc? To nonsens, ale nadal używam tych słów tak, jakby miały tu znaczenie. Cztery lata nie wyгнаły Ziemi z mojej pamięci. Być może wir odpędza Karen. Ale przecież nigdy dotąd nie pragnąłem jej odpędzić. A poza tym powinienem obywać się bez protez.

13 sierpnia - Kilka dni temu przyleciał kolejny statek. I nie miałem potem snów. To reguła!

Walczę ze wspomnieniami. Myślę o innych sprawach, które pamiętam z Ziemi. O dobrych chwilach. Właściwie było ich bardzo wiele, a kiedy wrócę, czeka mnie ich jeszcze więcej. Z

pewnością się o to postaram. Te koszmary to głupota. Nie pozwolę, żeby trwały dłużej. Dzieliłem z Karen bardzo wiele innych momentów i to je chciałbym sobie przypomnieć. Dlaczego mi się nie udaje?

18 sierpnia - Został jeszcze miesiąc do przylotu „Charona”. Ciekawe, kim jest mój zmiennik i co go skłoniło do przybycia tutaj.

Sny o Ziemi nadal mnie nawiedzają. Nie, nazwijmy je snami o Karen. Czyżbym bał się teraz nawet napisać jej imię?

20 sierpnia - Dzisiaj przyleciał statek. Po jego zniknięciu zostałem na zewnątrz i patrzyłem na gwiazdy. Wygląda na to, że spędziłem w ten sposób kilka godzin, choć wydawało mi się wówczas, że trwało to znacznie krócej.

Na zewnątrz jest pięknie. To prawda, że jestem tam sam, ale cóż to za samotność! Obcuję z całym wszechświatem, gwiazdy rozpościerają się mi u stóp i świecą wszędzie wokół głowy.

A każda z nich jest słońcem. Mimo to wydają mi się zimne. Drzę, zagubiony w tym bezkresie, zadając sobie pytanie, skąd on się wziął i co oznacza.

Mam nadzieję, że mój zmiennik, kimkolwiek by był, potrafi to należycie docenić. Tak wielu ludzi nie umie albo nie chce tego zrobić. Wychodzą nocami z domów i nawet nie spojrzą na niebo.

Mam nadzieję, że mój zmiennik nie zalicza się do nich.

24 sierpnia - A jednak odnajdę Karen, kiedy wrócę na Ziemię. Muszę ją odnaleźć. Jak mogę udawać, że tym razem wszystko będzie inaczej, jeśli nie zdobędę się na odwagę, by to zrobić? A wszystko z pewnością będzie inaczej. Dlatego muszę spotkać się z Karen i udowodnić, że się zmieniłem. Naprawdę zmieniłem.

25 sierpnia - Wczoraj pisałem bzdury. Jak mógłbym spotkać się z Karen? Co miałbym jej do powiedzenia? Znowu zacząłbym oszukiwać sam siebie i znowu bym się poparzył. Nie. Nie wolno mi się z nią spotykać. Do licha, nie mogę nawet znieść snów o niej.

30 sierpnia - Ostatnio często schodzę do sterowni, żeby wyjść na zewnątrz. Pierścieniowce nie przylatują, ale przekonałem się, że wyjście w przestrzeń przyćmiewa wspomnienia o Ziemi. Coraz dobitniej uświadamiam sobie, że będę tęsknił za Cerberem. Za rok wrócę już na Ziemię i będę patrzył na nocne niebo, wspominając pierścień błyszczący srebrzyście w świetle gwiazd. Wiem, że tak będzie.

A także wir. Będę wspominał wir i kolory, które mieszały się w nim podczas tańca. Za każdym razem

wyglądało to inaczej.

Szkoda, że holografia nigdy nie była moim hobby. Na Ziemi można by otrzymać fortunę za taśmę przedstawiającą obraz czynnego wiru. Balet pustki. Dziwię się, że nikomu dotąd nie przyszło to do głowy.

Być może podsunę ten pomysł zmiennikowi. Będzie miał czym wypełnić czas, jeśli to go zainteresuje. Mam nadzieję, że tak się stanie. Podobne nagranie wzbogaciłoby Ziemię.

Zrobiłbym to sam, ale sprzęt nie jest do tego przystosowany, a ja nie mam czasu go przerobić.

4 września - Przekonałem się, że w ostatnim tygodniu wychodziłem na zewnątrz codziennie.

Koszmarów nie było. Śniła mi się tylko ciemność, usiana kolorami zeroprzestrzeni.

9 września - Nadal wychodzę w przestrzeń i wchłaniam w siebie jej obraz. Niedługo, bardzo niedługo, utracę to wszystko. Na zawsze. Mam wrażenie, że muszę wykorzystać każdą sekundę, utrwalić sobie w pamięci obrazy Cerbera, by zachwyty i bojaźń, jakie we mnie zrodziły, pozostały żywe po powrocie na Ziemię.

10 września - Dawno już nie było statku. Czyżby to był koniec? Czy widziałem ostatni?

12 września - Dzisiaj nie było statku. Mimo to wyszedłem w przestrzeń, obudziłem emitery i pozwoliłem wirowi wyć.

Dlaczego zawsze piszę, że wir wyje? W przestrzeni dźwięk się nie rozchodzi. Nic nie słyszę.

Ale obserwuję go. I on rzeczywiście wyje. Daję słowo.

Brzmienie ciszy. Ale nie w tym sensie, o który chodziło poetom.

13 września - Dzisiaj znowu obserwowałem wir, mimo że nie było statku.

Nigdy dotąd tak nie postępowałem, a teraz zrobiłem to dwa razy z rzędu. To jest zabronione.

Koszty zużycia mocy są ogromne, a moc jest życiem Cerbera. Czym więc się kierowałem?

Można by pomyśleć, że nie chcę się rozstawać z wirem. A przecież będę musiał. Już niedługo.

14 września - Idiota, idiota, idiota. Co ja wyprawiam? „Charon” przyleci za niespełna tydzień, a ja gapię się na gwiazdy, jakbym nigdy dotąd ich nie widział. Nawet nie zacząłem się pakować, a przecież muszę jeszcze uporządkować archiwa dla zmiennika i zrobić porządek na stacji.

Idiota! Po co tracę czas na te cholerne zapiski!

15 września - Prawie się spakowałem. Odkryłem przy okazji kilka dziwnych drobiazgów, które próbowałem ukryć w pierwszych latach pobytu na stacji. Na przykład moją powieść. Pisałem ją

przez pierwsze pół roku i uważałem, że jest świetna. Nie mogłem się doczekać chwili, gdy wrócę na Ziemię, będę mógł ją wydać i zostanę pisarzem. Tak właśnie. Przeczytałem ją rok później. Jest do chrzaniu.

Znalazłem też fotografię Karen.

16 września - Dzisiaj zabrałem do sterowni butelkę szkockiej i szklaneczkę, postawiłem je na konsoli i przypiąłem się do krzesła. Potem wychyliłem toast za ciemność, gwiazdy i wir. Będzie mi ich brakowało.

17 września - Według moich obliczeń to właśnie dzisiaj. Dzisiaj. Za chwilę wyruszę w drogę do domu, do nowego życia i nowego początku. Jeśli wystarczy mi odwagi.

18 września - Już prawie północ. „Charon” się nie zjawił. Co się stało?

Zapewne nic. Harmonogramy lotów nigdy nie są w pełni precyzyjne. Niekiedy opóźnienie sięga niemal tygodnia. Czemu więc się martwię? Do licha, ja również przyleciałem tu z opóźnieniem. Ciekawe, co myślał wówczas ten biedak, którego zastąpiłem?

20 września - Wczoraj „Charon” również nie przyleciał. Gdy już się zmęczyłem czekaniem, wziąłem tę butelkę szkockiej i poszedłem do sterowni. A potem wyszedłem w przestrzeń, by wychylić kolejny toast za gwiazdy. I za wir. Obudziłem go, pozwoliłem mu płonąć i wypięm za niego.

Wypięm bardzo dużo. Całą butelkę. A dzisiaj mam takiego kaca, że obawiam się, iż już nigdy nie wrócę na Ziemię.

To była głupota. Załoga „Charona” mogła zauważyć barwy wiru. Jeśli na mnie doniosą, potracą mi małą fortunę ze stosu pieniędzy, które czekają na mnie na Ziemi.

21 września - Gdzie jest „Charon”? Czy coś się z nim stało? Czy przyleci?

22 września - Znowu wyszedłem na zewnątrz.

Boże, jak tu pięknie. Jakie to wszystko ogromne i puste. Urzekające, to właśnie jest słowo, którego potrzebuję. Urzekające piękno. Czasami myślę, że postępuję głupio, wracając na Ziemię.

Wyrzekam się całej wieczności w zamian za pizzę, szybki numer i czułe słowo.

NIE! Co ja wypisuję, do diabła? Wrócę, pewnie że wrócę. Potrzebuję Ziemi, tęsknię za nią i chcę tam wrócić. Tym razem będzie inaczej.

Znajdę sobie nową Karen i tym razem nie zepsuję sprawy.

23 września - Mam nie po kolei w głowie, Boże, naprawdę nie po kolei. O czym ja myślałem?

Byłem przekonany, że się zmieniłem, ale teraz nie jestem już tego pewien. Złapałem się na tym, że rozważałem możliwość zostania dłużej. Nie chcę tego robić. Nie chcę. Ale chyba nadal boję się

życia, Ziemi i wszystkiego.

Pośpiesz się „Charonie”. Przybądź tu, zanim zmienię zdanie.

24 września - Karen czy wir? Ziemia czy wieczność?

Co mi przychodzi do łba, niech to szlag! Karen! Ziemia! Muszę mieć odwagę. Muszę narazić się na ból. Muszę poczuć smak życia.

Nie jestem skałą. Ani wyspą. Ani gwiazdą.

25 września - Nadal nie ma śladu „Charona”. Spóźnia się już o cały tydzień. To się czasami zdarza, ale rzadko. Wkrótce przyleci, wiem o tym.

30 września - Nadal nic. Codziennie wyglądam go i czekam. Słucham czujników i wychodzę na zewnątrz, by okrążyć pierścień. Ale nic nie widzę. Nigdy jeszcze się tak nie spóźnił. Co się stało?

3 października - Dzisiaj przyleciał statek. Ale to nie był „Charon”. Z początku myślałem, że to on. Kiedy czujniki go wykryły, krzyknąłem tak głośno, że mógłbym obudzić wir. Ale potem przyjrzałem się uważniej i ogarnęła mnie rozpacz. Był za duży i leciał prosto w stronę dziury, nie zmniejszając prędkości.

Wyszedłem na zewnątrz i przepuściłem go. A potem zostałem tam jeszcze długo.

4 października - Chcę wrócić do domu. Gdzie oni są? Nie rozumiem tego. Nie rozumiem.

Nie mogą mnie tu tak zostawić. Nie mogą i nie zrobią tego.

5 października - Dzisiaj przyleciał statek. To znowu był pierścieniowiec. Zawsze cieszyłem się, gdy się zjawiały, a teraz nienawidzę ich, bo nie są „Charonem”. Ale i tak go przepuściłem.

7 października - Rozpakowałem się. Byłoby głupio, gdybym trzymał rzeczy w walizkach, skoro nie wiem, czy i kiedy przyleci „Charon”.

Ale nadal na niego czekam. Wiem, że kiedyś się zjawi. Po prostu nastąpiło jakieś opóźnienie.

Być może w pasie planetoid doszło do niespodziewanych komplikacji. Jest wiele możliwych wyjaśnień.

Tymczasem zajmuję się różnymi drobiazgami. Pora w końcu doprowadzić pierścień do porządku, żebym mógł przekazać go zmiennikowi. Za dużo czasu poświęcałem na gapienie się na gwiazdy i zaniedbałem swoją robotę.

8 października (albo coś koło tego) - Ciemność i rozpacz.

Wiem, dlaczego „Charon” nie przybył. Wcale nie miał przylecieć. Kalendarz był całkowicie pochrzaniony. Jest styczeń, nie październik. Już od miesiący posługiwałem się błędną rachubą czasu.

Nawet 4 lipca obchodziłem w niewłaściwy dzień.

Odkryłem ten fakt wczoraj, kiedy pracowałem przy pierścieniu. Chciałem się upewnić, że zmiennik zastanie wszystko w porządku.

Ale nie będzie żadnego zmiennika.

„Charon” przyleciał przed trzema miesiącami i... i zniszczyłem go.

Byłem chory, obłąkany. Gdy tylko to zrobiłem, uświadomiłem sobie znaczenie swego czynu. O mój Boże! Krzyczałem całymi godzinami.

A potem cofnąłem ścienny kalendarz. I zapomniałem o tym. Być może celowo. Być może nie byłem w stanie o tym pamiętać. Nie wiem. Wiem tylko to, że zapomniałem.

Ale teraz sobie przypomniałem. Przypomniałem sobie wszystko.

Czujniki uprzedziły mnie, że „Charon” się zbliża. Byłem w przestrzeni i czekałem.

Obserwowałem. Chciałem się nasycić gwiazdami i ciemnością, by wystarczyło mi to na resztę życia.

I z tej ciemności wyłonił się „Charon”. Wydawał się bardzo powolny w porównaniu z pierścieniowcami. Był taki mały. Niósł mi wybawienie i ulgę, ale wydawał mi się kruchy, głupi i z jakiegoś powodu brzydki. Nędzny. Przypominał mi Ziemię.

Zmierzał w stronę pierścienia, opadał ku niemu, ku śluzom w mieszkalnej części Cerbera. Tak bardzo powoli. Obserwowałem go. Nagle zadałem sobie pytanie, co powiem załodze i zmiennikowi. Zastanawiałem się, co sobie o mnie pomyślą. Poczułem nagły ucisk w brzuchu.

Nie mogłem już tego dłużej znieść. Nagle zacząłem się bać. Uświadomiłem sobie, że go nienawidzę.

I obudziłem wir.

Czerwony płomień wypuścił z siebie żółte języki. Rósł szybko, strzelając niebieskozielonymi błyskawicami. Jedna z nich przemknęła tuż obok „Charona”. I statek zadrżał.

Powtarzam sobie teraz, że nie wiedziałem, co robię. Zdawałem sobie jednak sprawę, że

„Charon” nie jest opancerzony. Że nie oprze się energii wiru. Wiedziałem o tym.

„Charon” był bardzo powolny, a wir straszliwie prędko. Po dwóch uderzeniach serca ocierał się już o statek. Po trzech pochłonął go.

„Charon” zniknął niesłychanie szybko. Nie wiem, czy się roztopił, eksplodował, czy zapadł się w siebie. Wiem jednak, że nie miał szans. Ale na moim pierścieniu gwiazdowym nie ma krwi.

Szczątki znajdują się gdzieś po drugiej stronie zeroprzestrzeni. O ile w ogóle pozostały jakieś szczątki.

Pierścień i ciemność wyglądały tak samo jak zawsze.

Dzięki temu łatwiej mi było zapomnieć. A na pewno bardzo tego pragnąłem.

A teraz? Co zrobię teraz? Czy na Ziemi się o tym dowiedzą? Czy zmiennik kiedykolwiek przyleci? Chcę wrócić do domu.

Karen, ja...

18 czerwca - Mój zmiennik opuścił dziś Ziemię.

Tak mi się przynajmniej wydaje. Ścienny kalendarz z jakiegoś powodu przestał działać, dlatego nie jestem pewien dokładnej daty. Udało mi się go jednak naprawić.

Tak czy inaczej, niemożliwe, by błąd wynosił więcej niż kilka godzin. W przeciwnym razie na pewno bym to zauważył. To znaczy, że zmiennik jest już w drodze. Oczywiście dotrze tu dopiero za trzy miesiące.

Ale przynajmniej już wyruszył.

Przełożył Michał Jakuszczyński

Table of Contents

[Rozpoczni](#)